

A woman with long, wavy hair, seen from behind, is walking away on a cobblestone path. She is wearing a bright red coat and dark tights. The path is bordered by a metal railing on the right, overlooking a river. In the background, there are modern buildings and a cloudy sky. Bare tree branches are visible at the top of the frame.

PEJZAŻ ŚMIERCI

PATRICIA GIBNEY
CYKL Z DETEKTYW LOTTIE PARKER

BUKOWY LAS

Prolog

Zapach dymu z kominów na osiedlu komunalnym oblepiał jej gardło. Szła szybko, próbując liczyć mijające sekundy i minuty, lecz gdy kolejna fala bólu rozdarła jej ciało, zupełnie straciła rachubę. Opadła na kolana, przyciskając ręce do brzucha.

Światło latarni ulicznych wiodło ją po opustoszałej alejce za rzędem szeregówek. Mokre dżinsy lepiły się do jej nóg – nie była pewna, czy zmoczyła ją woda, czy krew. Miała nadzieję, że nie krew... Znow przeszył ją ból i przygryzła wargę, żeby stłumić krzyk, który chciał się wyrwać i wzlecieć w gęste od dymu powietrze.

Krople deszczu kłuły jej skórę niczym śrut z wiatrówki. Zdziwiło ją to, bo zanim zaczęło padać, czuła wyłącznie ostre skurcze w dole brzucha. Lało jak z cebra, a ona nie miała kurtki. Cienka koszulka całkowicie przemokła, tak jak dżinsy i buty.

Skreśliła w lewo i ruszyła w stronę boiska, ale przed jasno oświetlonym budynkiem klubowym stał tłum ludzi. Pewnie jakaś impreza, pomyślała. Gdy skierowała się z powrotem tam, skąd przyszła, kolejny skurcz przygiął ją do ziemi.

– Jeszcze nie. Proszę! – krzyknęła w stronę ołowianego nieba.

Deszcz powoli ustawał, a ona po pięciu minutach dotarła do tunelu pod kanałem. Nie, nie pójdzie do miasta. Ktoś mógłby ją zobaczyć, a nie chciała, żeby widziano ją w takim stanie. Ludzie już i tak gadali. Wspięła się na śliski nasyp i puściła się

biegiem wzdłuż brzegu kanału po zaśmieconej żwirowej ścieżce porośniętej chwastami. Wydawało jej się, że słyszy kroki za plecami, ale nie miała siły się obejrzeć. Nikogo tu nie ma, powtarzała sobie. Tylko szczury w wodzie.

Nagle poczuła inny ból. I wszystko się zmieniło.

Niedziela

– Gol!

Mikey Driscoll triumfalnie uniósł pięść do góry, gdy piłka wylądowała w siatce. Chłopca natychmiast otoczyła cała drużyna. Tak! Był bohaterem. Nareszcie. Szeroki uśmiech nie schodził mu z twarzy przez ostatnie pięć minut meczu młodzików.

Sędzia zagwizdał, a wokół rozległ się chór wiwatów. Na murawę wylał się tłum, złożony głównie z rodziców i rodzin zwycięskiej drużyny. Ktoś posadził sobie Mikeya na ramionach. Chłopiec już nie czuł się najmniejszy w zespole. Teraz był obryzmem. Hurra!

Dostrzegł swojego przyjaciela, Toby'ego, który uśmiechał się do niego, i odpowiedział mu uśmiechem. Po drodze do budynku klubowego rozglądał się za mamą. Odrobinę posmutniał. Oczywiście, że jej tu nie ma. Nigdy nie bywała na jego meczach, to dlaczego miałaby przyjść teraz? Ale to był finał, więc trochę liczył na to, że... Przełknął rozczarowanie.

Zsunął się na ziemię z ramion nieznajomego, rozglądając się za członkami swojej drużyny. On zdobył zwycięskiego gola, ale to Toby jako kapitan miał odebrać puchar. Mikey podbiegł do przyjaciela, który był od niego wyższy o dobrą głowę. Spojrzał w górę, osłaniając oczy przed światłem zachodzącego słońca.

– Piękny gol – pochwalił go Toby.

– Dzięki – odrzekł Mikey. – Mogę u ciebie dzisiaj nocować? – Zaciśnął kciuki. Powiedział już mamie, że zostanie na noc u kumpla. Proszę, zgódź się, modlił się w duchu.

Przyjaciel się zawahał.

– Muszę spytać mamę.

– Jasne, nie ma sprawy.

– A dlaczego chcesz u mnie nocować?

Zanim chłopiec zdążył odpowiedzieć, trener Rory Butler zagarnął ich ramionami i postawił przed drużyną.

– Chodźcie, chłopcy. Teraz wręczenie medali i pucharu, a potem zapraszam wszystkich do McDonalda!

Rozległy się radosne okrzyki i Mikeya porwał tłum, oddzielając go od Toby'ego. Po intensywnej grze w wieczornym upale był mokry od potu. Czy powinien przedtem pobiec do domu i wziąć prysznic? Nie. Powiedział mamie, że nocuje u Toby'ego, więc lepiej nie zaskakiwać jej swoim powrotem. No cóż, pomyślał, wszystkie chłopaki będą cuchnęły, nie tylko ja.

Przyjął medal od Rory'ego Butlera, a Toby wysoko uniósł puchar. Zgromadzeni zaczęli się rozchodzić. Część rodziców wsiadła do samochodów, by zawieźć dzieci do McDonalda. Resztę miał zabrać wynajmowany przez drużynę bus. Mikey ruszył za kolegami do obskurnej szatni.

– To był najlepszy mecz sezonu – stwierdził Rory, poklepując po plecach wszystkich mijających go graczy.

Mikey lubił trenera, który był mniej więcej w tym samym wieku co mama. Czyli trzydzieści parę lat, jak odpowiadała, gdy ktoś pytał.

– Jestem z was bardzo dumny, chłopcy. Ale dość gadania, teraz czas na świętowanie. Łapcie swoje rzeczy i spotykamy się wszyscy w McDonalddie. Stawiam nuggetsy i frytki!

Młodzi piłkarze znów zaczęli wiwatować, a potem wzięli torby i, nadal w dresach i koszulkach, z medalami na zielonych wstążkach zawieszonymi na szyjach, wyszli, pokrzykując radośnie.

Toby czuł się kiepsko. Owszem, wygrali finał, jedli nuggetsy z frytkami i mieli najfajniejszego trenera w kraju, ale...

Mikey przyglądał mu się zza stołu swoimi wielkimi, smutnymi brązowymi oczami. Cholera, pomyślał Toby. Może mógłby go dziś do siebie zabrać. W końcu przyjaciel dość często u niego nocował. Ale wolał go dziś nie zapraszać. Jego starszy brat Max będzie w domu, a Toby nie lubił atmosfery, która wtedy panowała. Nikt z jego rodziny nie przyszedł na mecz, co wcale go nie martwiło. Lepiej mu było bez nich.

Odgarnął jasne włosy z oczu. Miał specjalną fryzurę, wygoloną dookoła, z mopem na czubku głowy, jak mówiła mama. Mikey próbował go naśladować, więc namówił mamę, żeby zrobiła mu jasne pasemka. Efekt był szokujący. Wyglądało to po prostu okropnie. Ale Toby oczywiście nigdy mu tego nie powiedział.

Włożył do ust nuggetsa i zaczął zawzięcie przeżuwać. Znał Mikeya od przedszkola. Chodzili do tej samej klasy w podstawówce. Teraz dorastali. Czekala ich zmiana szkoły. Czy w liceum nadal będą się przyjaźnili? Miał nadzieję. Posmutniał, patrząc, jak kumpel z medalem dumnie zawieszonym na szyi zbiera opakowania i idzie wyrzucić je do śmieci.

Pośród śmiechu i rozmów słyszał tylko ciszę między sobą a Mikeyem. Cały czas go obserwował. Przyjaciel przez chwilę rozmawiał z Paulem Duffym, fizjoterapeutą drużyny. Cóż, właściwie nie fizjoterapeutą, tylko lekarzem, ale to prawie to samo. Wszyscy tu byli. Barry, syn doktora, który ciągle się przy nich kręcił i rządził. Ma tylko piętnaście lat, pomyślał Toby, nie może mną rządzić! Żona Paula, Julia, która czasami zabierała ich stroje sportowe do prania. Oblesny Wes, kierowca autobusu, który woził ich na mecze wyjazdowe. Bertie Harris, który uważał się za trenera, ale był tylko dozorcą w klubie. I oczywiście Rory Butler. Prawdziwy trener. Toby go lubił, więc uśmiechnął się szeroko, gdy trener na niego spojrział.

Walić to, pomyślał. Zaprosi Mikeya na noc. Niech Max się pierdoli. Cała jego rodzina może się pierdolić. Wziął puste pudełko po nuggetsach i resztkę frytek, ruszając do śmietnika, gdy poczuł, że ktoś łapie go za ramię. Okręcił się na pięcie.

– Toby, fantastycznie dziś grałeś.

Chłopiec wyrwał się z uścisku Bertiego, uśmiechając się nerwowo.

– Tak, dzięki. To był dobry mecz. Super zabawa.

– Byłeś gwiazdą.

– To Mikey zdobył bramkę.

– Świetny gol, to prawda. Młody Driscoll rzadko wbija gole, ale ten był ważny. Nie zapomnij o przyjęciu z okazji wygranej w następną sobotę.

– Dobrze.

Toby wziął torbę i rozejrzał się za Mikeyem. W knajpie panna walczyła i hałas, ale on był na tyle wysoki, że widział wszystko nad głowami siedzących. Rozejrzał się uważnie, lecz nigdzie nie dostrzegł przyjaciela.

– Kurde – mruknął. Akurat gdy zdecydował, że kumpel może u niego przenocować... No cóż, jego strata.

* * *

Mikey przypomniał sobie, że mama miała pójść na bingo, poza tym i tak się nie spodziewała jego powrotu. Na szczęście miał własny klucz. A Toby zachował się jak dupek.

Zarzucił torbę na ramię i jedną ręką trzymając medal, ruszył do domu. Postanowił, że najpierw weźmie prysznic, potem zaktualizuje *FIFĘ* na PlayStation, a w tym czasie zobaczy, co jest na Netflixie. Jeden z kolegów wspomniał o serialu *Stranger Things*. Zapowiadał się naprawdę fajnie. Wiedział, że mama w życiu nie pozwoliłaby mu go oglądać, ale przecież jej nie będzie, prawda? Tak! Radośnie uniósł zaciśniętą pięść i puścił się biegiem. Poczul się znacznie lepiej, mając plany na resztę wieczoru.

Przeszedł na światłach i skierował się do tunelu, by pójść do domu skrótem. Nienawidził tego tunelu pod kanałem. Fui. Zawsze się bał, że ściany pękną, a on utonie w mętnej wodzie.

Kopnął pustą puszkę, a gdy potoczyła się z grzechotem, usłyszał, że podjeżdża do niego samochód. Szedł dalej, a auto jechało obok. Odwrócił się i zajrzał przez boczne okno. Kiedy rozpoznał osobę za kierownicą, uśmiechnął się do niej i przywitał:

- Cześć.
- Wskakuj. Podwiozę cię do domu.
- Nie trzeba, to niedaleko.
- Na pewno jesteś zmęczony, a ja jadę w tamtą stronę.
- No dobra.

Mikey obszedł samochód i otworzył drzwi. Usiadł na miejscu pasażera, po czym zapiął pas. Usłyszał kliknięcie automatycznej blokady drzwi.

- Dobry Boże, Mikey, cuchniesz.
- Co nie? - Chłopiec parsknął nerwowym śmiechem.
- Mogę coś na to zaradzić.
- Nie trzeba, zaraz będę w domu. Mam tam mnóstwo gorącej wody - odrzekł, choć wiedział, że będzie musiał odczekać pół godziny, zanim bojler się nagrzeje.

Kiedy włączyło się zielone, samochód skręcił w lewo na most Dubliński.

Zdziwiony Mikey wyjrzał przez okno.

- Hej, do mnie się jedzie tamtędy. To nie ten skręt.

W samochodzie panowała cisza.

- Jedziesz w złą stronę. - Chłopca ogarnął popłoch.
- Och, to dobra strona. Nie przejmuj się. Zaufaj mi.

Mikey osunął się na siedzeniu, opierając stopy na torbie. Po chwili odważył się zerknąć kątem oka w bok. Zaufać? Nie, na pewno nie. Niestety, droga odwrotu została już zamknięta.

DZIEŃ PIERWSZY

Poniedziałek

1

Samolot z Nowego Jorku wylądował na lotnisku w Dublinie przed czasem. Dokładnie za piętnaście piąta rano Leo Belfield stanął w kolejce do kontroli paszportowej. Nie denerwował się. Nie miał niczego do ukrycia ani do oclenia. W końcu służył w policji nowojorskiej w randze kapitana. Wiedział jednak, że o tajemnicy jego narodzin i sekretach rodzinnych w tym kraju, w którym nigdy do tej pory nie postawił stopy, lepiej nikomu nie wspominać. Wiele się dowiedział przez ostatnie pół roku. Kiedy Alexis, jego matka, przeszła zawał serca, odkrył na temat swojego pochodzenia sporo rzeczy, których na pewno nie zamierzała mu wyjawiać. Lecz nie wiedział wszystkiego. Jeszcze nie.

Przyjechałem tu, Alexis, pomyślał. Do kraju, o którym chciałaś zapomnieć. Kraju, którego nigdy nie miałem poznać. I szukam rodziny, której mnie pozbawiłaś.

Uśmiechnął się do pracownika kontroli paszportowej i zaczął odpowiadać na pytania.

- Wakacje, proszę pana?
- Tak, przyjechałem na wakacje.
- Zamierza pan podróżować po kraju?
- Zatrzymam się w hotelu Joyce w Ragsmullin.

– A, tak, Ragmullin. W Irlandii środkowej. Wielu dobrych muzyków wywodzi się z tamtych okolic.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odrzekł Leo. – To moja pierwsza wizyta.

– Mam nadzieję, że pierwsza z wielu. – Urzędnik podbił wizę i oddał Leo paszport. – Miłego pobytu.

– To wcale nie jest pewne – mruknął Leo pod nosem, chowając niebieską książeczkę do kieszeni. – Wcale a wcale.

* * *

Inspektor Lottie Parker strzepnęła żar z niedopałka i przyglądała się, jak dogasa na popękany beton pod jej stopami.

– Palenie ci nie służy.

Zerknęła przez ramię na sierżanta Marka Boyda, który stał oparty o dach samochodu, mocno zaciągając się papierosem.

– Przyganiał kocioł garnkowi – mruknęła i odwróciła się, by dalej wpatrywać się w ruinę, która jeszcze pięć miesięcy temu była jej domem.

Wyczuła, że Boyd podszedł bliżej.

– Gapienie się na to nic nie zmieni – powiedział.

– Całe moje życie poszło z dymem – odrzekła.

– Przecież nadal żyjesz. Twoim dzieciom też nic się nie stało. To znak, że trzeba ruszyć naprzód.

Westchnęła i wcisnęła ręce głęboko do kieszeni dzinsów.

– Tak, wiem, że to tylko cegły i zaprawa.

– To tekst piosenki, tak? Chyba przypominam sobie, jak moja mama ją cytowała.

– Nie mam pojęcia. – Pokręciła głową. – I, proszę, nie próbuj śpiewać.

– Nie będę.

– Co cię tu sprowadza? Raczej nie zamierzałeś pławić się ze mną w rozpaczy. – Jej dom spłonął w lutym. Podejrzewała, że został podpalony, ale okazało się, że doszło do zwarcia instalacji

elektrycznej. Jednak Lottie nie wierzyła, że to była jedyna przyczyna tej brzemiennej w skutki awarii.

Uniosła wzrok i zauważyła, że Boyd się jej przygląda. Wysoki i szczupły, z odrobiną odstającymi uszami, krótko ściętymi włosami, w których więcej było srebra niż czerni, i z lekkim zarostem na twarzy – zupełnie do niego niepasującym.

– Jak zwykle McMahon dopytuje się o ciebie – wyjaśnił.

– Która godzina?

– Właśnie minęła dziewiąta.

– Nie może mi dać pięciu minut dla siebie?

– Lottie, przyjeżdżasz tu co rano od miesiący. Dom nie powstanie z popiołów jak feniks. – Uniósł rękę, widząc, że zamierza zaprotestować. – Twój dom ze wspomnień już nie istnieje. Jak już mówiłem, powinnaś uznać to za znak i ruszyć naprzód.

Lottie przygryzła wargę, myśląc o swoim mężu Adamie, który zmarł przed pięcioma laty. W tym domu mieszkali od ślubu. W tym domu wychowywali Katie, Chloe i Seana, trójkę swoich pięknych dzieci. Spłonął do gołej ziemi. Przepadł. Wszystko przepadło. Czy Boyd miał rację? Czy to był znak? Nie wiedziała. Nic już nie wiedziała...

– Masz ochotę na drinka? – spytała.

– Jezu, Lottie! Jest dziewiąta rano. Chodź. Gdzie twój samochód?

– Przyszłam pieszo.

– Od matki?

– Uznałam, że to idealny poranek na spacer. – Spojrzała w niebo i zauważyła, że choć nadal świeci słońce, napływają groźne atramentowe chmury. Wiedziała, że Boyd nie kupił jej kłamstwa. – Samochód nie chciał odpalić, więc poprosiłam Kirby'ego o podwózkę. Podrzucił mnie po drodze do pracy. Jest dziś wesołym nastroju.

– To pewnie zasługa jego kobiety – stwierdził Mark. – Gilly O'Donoghue działa na niego jak balsam. Powinnaś była zadzwonić po mnie. Chodź, podwiozę cię na komisariat. – Ruszył

do samochodu. – Idziesz czy zamierzasz się lampić na tę ruinę przez resztę dnia?

Przydeptała niedopałek, wyjęła paczkę i spytała:

– Masz ogień?

Uniósł brew.

– Nie zamierzam podpalić zgliszczy, jeśli to cię martwi. Mam ochotę na papierosa. Kirby przypalił mi poprzedniego, bo nie mam zapalniczki ani zapalek. – Łzy zapięły ją pod powiekami. Jezu, pomyślała, jestem w gorszym stanie niż ten cholerny dom. Cegły i zaprawa. Teoretycznie tylko z tego się składał, ale był czymś znacznie więcej. Przechowywał wszystkie jej wspomnienia, a teraz zostały z nich tylko zgliszcza i pustka.

– Wsiadaj. – Boyd otworzył przed nią drzwi samochodu.

Wzruszywszy ramionami, Lottie wykonała polecenie. Nie miała nastroju na kłótnię. A potem przypomniała sobie powód, dla którego Boyd jej szukał.

– McMahan cię przysłał? Dlaczego chce mnie zobaczyć?

Pełniący obowiązki komisarza David McMahan trzymał ją na krótkiej smyczy. Przydzielał jej głównie papierkową robotę, a w nagrodę dostawała jeszcze więcej papierkowej roboty. Była pewna, że go to podnieca.

– Zgadnij. – Mark włączył silnik, zawrócił i wyjechał z osiedla.

– Kłopoty – odrzekła.

– Zapewne.

2

Wysiedli z samochodu na placu za komisariatem, ale Lottie nie chciała jeszcze wchodzić do środka.

– Idź. Potrzebuję trochę świeżego powietrza – powiedziała.

– Lepiej się pospiesz. Nie będę dłużej świecił za ciebie oczami.

Boyd ruszył do budynku.

Dlaczego była taka przygnębiona? Może z powodu ciasnoty w domu matki. Dwudziestoletnia Katie i jej syn Louis, siedemnastoletnia Chloe i piętnastoletni Sean – wszyscy dosłownie siedzieli sobie na głowach. Lecz po pożarze Rose przygarnęła ich do siebie i Lottie z wdzięcznością przyjęła ofertę dachu nad głową dla swojej rodziny.

Na szczęście ta sytuacja już długo nie potrwa. Wszystko miała zaplanowane. Zatem w czym problem? Odetchnęła głęboko, stłumiła ochotę na kolejnego papierosa, obiecując sobie, że w końcu rzuci palenie. Znalazła w kieszeni dzinsów tabletkę Xanaksu i ją zażyła. Miała nadzieję, że trochę się uspokoi.

Weszła do komisariatu, a drzwi się za nią zatrzasnęły. Skłoniła głowę siedzącej w dyżurce sierżant O'Donoghue i podeszła do drzwi wewnętrznych, żeby wpisać kod. Zanim udało jej się wcisnąć drugą cyfrę, usłyszała za plecami głośny jęk.

Kiedy się odwróciła, ujrzała nastolatkę z twarzą oblepioną mokrymi włosami. Miała szeroko otwarte ciemne oczy i przerażoną minę. Jej dzinsy były podarte, rozporek rozpięty, stopy bose. Koszulka, niegdyś biała, wyglądała jak zafarbowana we krwi.

Lottie odruchowo się cofnęła, wpadając na drzwi. Otworzyła usta, ale nie udało jej się wydusić ani słowa.

– Chyba go zabiłam – wyszeptwała dziewczyna.

Inspektor wzięła się w garść i postąpiła krok do przodu.

– Słucham?

Nastolatka podniosła głos, który zabrzmiał gardłowo, niemal zwierzęco.

– Zabiłam go.

A potem osunęła się na podłogę.

* * *

Lekarz dyżurny uznał, że należy przewieźć dziewczynę do szpitala.

– Wstrząs i hipotermia – oznajmił.

Karetka przyjechała w ciągu dziesięciu minut i Lottie wsiadła do niej, by towarzyszyć nastolatce.

Przyglądając się bladej twarzy pod maską tlenową, inspektor zastanawiała się, jak dziewczyna mogła nabawić się hipotermii przy panujących upałach. Ale to było najmniejsze z jej zmartwień.

Ratownik medyczny uważnie monitorował ciśnienie krwi i pozostałe parametry życiowe dziewczyny.

– Ma bardzo niskie tętno – stwierdził.

– Kim jesteś? – szepnęła Parker do nastolatki.

– Raczej pani nie odpowie – mruknął ratownik. Plakietka na jego zielonym uniformie informowała, że ma na imię Steven.

– Nie jestem głupia – warknęła Lottie, ale widząc jego urażony wzrok, natychmiast dodała: – Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Co ona zrobiła?

– Nie mam pojęcia. – Śledcza poprawiła plastikowe torebki, które pospiesznie założyła na dłonie dziewczyny, by zabezpieczyć dowody zbrodni, o której nic jeszcze nie wiedziała. – Co jej jest?

– Nie chcę pani przedrzeźniać, ale nie mam pojęcia. – Steven pokręcił głową i spojrział na monitor. – Ma niebezpiecznie niskie ciśnienie krwi.

– Niech pan ją utrzyma przy życiu – powiedziała Paker. – Proszę.

Mężczyzna skinął głową.

Syrena umilkła i silnik zgasł. Otworzyły się drzwi, a Lottie wyskoczyła na zewnątrz, po czym odsunęła się, przepuszczając Stevena i kierowcę z noszami. Rozłożyli koła i wbiegli do szpitala przez rozsuwane drzwi. Ruszyła za nimi.

– Utrzymajcie ją przy życiu – powtórzyła, gdy sanitariusze przekładali dziewczynę z noszy na oddzielone parawanem łóżko na kółkach na oddziale ratunkowym.

Kiedy zasłony wokół boksu zostały zaciągnięte, zadzwoniła do Boyda.

Kupiła dietetyczną colę w szpitalnym sklepiku i wyszła przed główne wejście na szybkiego dymka, ale odkryła, że na całym terenie panuje zakaz palenia. Zresztą i tak nie miała zapalniczki.

Boyd zaparkował na podwójnej żółtej linii.

– Wiadomo coś? – zapytał.

– Zajmują się nią.

– Wiesz, kim jest?

– Jezu, Boyd. Stała w drzwiach cała we krwi, powiedziała: „Chyba go zabiłam” i zemdlła.

– Czyli nie masz pojęcia, co się stało?

Lottie gwałtownie pokręciła głową.

– Powiedziałam ci wszystko, co wiem.

– Hej, wyluzuj.

– Na litość boską... – Okręciła się na pięcie i wróciła do szpitala. Zdarzały się takie dni, kiedy czuła się przy Marku jak ściśnięta sprężyna, i dzisiaj tak właśnie było.

Odnalazła lekarza, który przeprowadził badanie nastolatki.

– Doktor Mohamed? – upewniła się, pokazując odznakę. – Co może mi pan powiedzieć o tej młodej pacjentce?

Mężczyzna miał zmęczone oczy i obwisłą skórę, choć wyglądało na to, że jest dopiero po trzydziestce.

– Straciła dużo krwi – oznajmił. – Być może trzeba będzie zrobić transfuzję. Monitoruję jej stan i wkrótce podejmę decyzję.

Inspektor zmarszczyła brwi. Nie zauważyła u dziewczyny żadnych obrażeń.

– Odniosła jakieś rany?

– Nie w takim znaczeniu. To pani nie wie?

– Czego?

– Dziewczyna jest po porodzie. Łożysko przykleiło się do macicy, więc go nie urodziła. To wywołało krwotok. Już je usunięto.

Lottie obracała w myślach tę informację, zastanawiając się, gdzie może być dziecko nastolatki. Jak i dlaczego przyszła do

komisariatu z wyznaniem winy? Nagle wyczuła obecność Boyda za swoimi plecami. Miała nadzieję, że sierżant zada lekarzowi jakieś sensowne pytanie, ponieważ jej dosłownie odebrało mowę.

– Jakie ma szanse na przeżycie? – zapytał Mark.

– Dotarła tu na czas. Sądzę, że dojdzie do siebie. Ale jeśli chcecie ją przesłuchać, to na pewno nie dzisiaj.

– Proszę nas zawiadomić, jeśli coś powie – poprosiła Lottie. – A gdyby się pan dowiedział, kim ona jest...

– Poinformuję was.

Powiedziawszy to, lekarz oddalił się wąskim korytarzem zastawionym wózkami z bezradnymi pacjentami. Lottie poleciła mundurowemu, by pilnował drzwi do sali, w której znajdowała się dziewczyna.

– Musimy wrócić po jej śladach – oznajmiła.

– A jak zamierzasz to zrobić? – spytał Boyd, wzruszając ramionami.

– Tradycyjną metodą śledczą. – Pchnęła podwójne drzwi. – Potrzebuję podwózki na komisariat.

3

Po raz pierwszy od początku wakacji piętnastoletni Sean Parker czuł się szczęśliwy. Wczoraj wieczorem wybrał się na mecz piłki nożnej, po którym pogratulował młodemu Mikeyowi świetnego gola. Znał go z czasów, gdy młokos grał w hurling, a w pewnym momencie nawet pomagał w jego treningach. Teraz Sean już rzadko się tym zajmował.

Jego kumpel ze szkoły, Barry Duffy, też był na meczu i rano przysłał esemesa z pytaniem, czy Sean nie miałby ochoty wybrać się na ryby. Zaprzyjaźnili się dopiero, gdy Parkerowie zamieszkali u babki, w sąsiedztwie domu Barry'ego.

Chłopak zerknął na wodę w kanale. Nieregularne fale lekko kołysały trzciniami. W oddali słychać było szum samochodów i dzwon w katedrze. Opary z oczyszczalni ścieków wypełniały powietrze mdlącą wonią. Tak było każdego lata. Pewnie z powodu upału, uznał. Delikatny wietrzyk poruszył drzewami. Kurka wodna przepłynęła, marszcząc powierzchnię wody.

– Fajna wędka – powiedział Barry. – Skąd ją masz?

Sean wszedł za nim na nasyp, po którym biegła ścieżka wzdłuż kanału.

– Należała do mojego taty.

– Myślałem, że wszystko spłonęło w pożarze?

– Zawartość szopy przetrwała. – Sean poprawił na ramieniu starą zieloną wojskową torbę i chwycił wędkę ojca dwiema rękami. – Gdzie chcesz się rozłożyć?

– Kawalek dalej. Złapałem tam wczoraj pstrąga.

– Kłamczuch! – Sean się zaśmiał.

Przeszli przez most Dubliński, a ścieżka powiodła ich dalej. Sean dogonił Barry'ego i wędrowali ramię w ramię, dopóki nie dotarli do miejsca, w którym do kanału wpadał dopływ zasilający.

– To najlepsza miejscówka – oznajmił Barry i położył swoją torbę na ziemi.

Sean postanowił się nie kłócić. Po chwili kumpel podał mu puszkę cydru. Cholera, matka by go zabiła, ale się nie dowie, więc otworzył ją i upił łyk. Spojrzał na wspinające się na niebo słońce.

Tak, to będzie wspaniały dzień.

4

Hope otworzyła oczy. Leżała na plecach, wpatrując się w sufit. Dokładnie nad głową widziała kropelki krwi układające się

w literę V. Spojrzała na swoje zakrwawione przedramię, z którego cewnik prowadził do zbiornika z płynem infuzyjnym.

Dziecko zniknęło. Wiedziała to. Nie było już maleńkiej istoty, która rosła w jej brzuchu przez dziewięć miesięcy, wierząc się i kręcąc. Ból zelżał, ale czuła cień dziecka, jakby nie chciało opuścić jej ciała nawet po ostatnim rozdzierającym skurczu. Ale co stało się potem? Nic nie pamiętała.

– Och, obudziłaś się. – Pielęgniarka w białym fartuchu uniosła jej nadgarstek, potrząsnęła workiem kroplówki, po czym zacisnęła rękaw ciśnieniomierza wokół ramienia dziewczyny.

Napełniający się z sykiem rękaw miazdzył jej rękę, ale to było nic w porównaniu z bólem, którego doświadczyła kilka godzin temu. A może dni? Nie pamiętała, co się wydarzyło.

– Jak długo... Jak długo tu jestem? – Jej głos brzmiał chrapliwie, zupełnie jak nie jej własny.

– Karetka przywiozła cię godzinę temu. – Pielęgniarka zanotowała coś na karcie w nogach łóżka. – Powiesz mi, jak się nazywaś?

– Słucham? Dlaczego chce pani wiedzieć?

– Po pierwsze nie mogę cię wiecznie nazywać „dziewczyną spod trójki”, a po drugie potrzebne nam to do dokumentacji.

Hope przez chwilę rozważała, czyby nie podać fałszywych danych, ale wiedziała, że w końcu prawda i tak wyjdzie na jaw.

– Hope Cotter.

– Adres? – Pielęgniarka zapisywała informacje na przypiętym do podkładki formularzu.

– Munbally Grove pięćdziesiąt trzy. – Hope spodziewała się jakiejś reakcji na adres ze złej strony miasta, ale się jej nie doczekała. I jak to możliwe, że pamiętała takie szczegóły, a nie to, jak się tu znalazła?

– Przyprawdę lekarza, żeby zamienił z tobą słówko. Teraz już nic nie mów i na razie nie zasypiaj, słyszysz?

– Wspomniała pani o karetcie? Jak... Kto... Nie rozumiem...

– Miałś już nic nie mówić. Odpocznij sobie. Lekarz odpowie na wszystkie twoje pytania. – Pielęgniarka już miała wyjść, ale jeszcze dodała: – Policja też chce z tobą rozmawiać.

– Co?

Ale drzwi już się zamknęły, a Hope została sama z mglistymi wspomnieniami i węzłem strachu zaciskającym się w piersi. Dlaczego policja chce z nią rozmawiać? Nie miała zielonego pojęcia, co się dzieje.

Ale jedno wiedziała na pewno.

Musiała stąd uciekać.

I to jak najszybciej.

5

– Kogo ona zabiła? – Pełniący obowiązki komisarza David McMahon siedział za biurkiem, a czarne włosy opadały mu na czoło. Świdrował śledczą wzrokiem, jakby chciał ją przewiercić na wylot.

Inspektor wsunęła ręce do kieszeni dżinsów i oparła się o ścianę gabinetu.

– Nie mamy pewności, że to zrobiła, sir.

– Mamy. – Założył ramiona na piersi i odchylił się na oparcie krzesła.

Jeśli zacznie się kołysać, pomyślała Lottie, chętnie go popchnę. Ale on się nie ruszył.

– Zjawia się na komisariacie – mówił dalej – cała we krwi i oznajmia, cytując: „Chyba go zabiłam”. Wygląda na to, że gdzieś leży ciało, które należy znaleźć.

– Zdaniem konsultanta z pogotowia dziewczyna niedawno urodziła, ale łożysko przyrosło do macicy, co wywołało masywny krwotok. Zatem prawdopodobnie to była jej krew.

– Teraz niby jesteś lekarką? – burknął. – Przeprowadzono już analizę krwi?

– Właśnie trwa.

– Zatem na razie nie wiesz, czy krew na ubraniach należy do niej, czy do kogoś innego?

– Jeszcze nie – przyznała Lottie. Zaciśnęła pięści w kieszeniach spodni. Była pewna, że McMahan wie, iż doprowadza ją do szału. Jak zwykle. Ale tym razem musiała przyznać mu rację.

– Zatem musisz ją traktować jak podejrzaną o morderstwo. Ta sprawa ma najwyższy priorytet. Idź i znajdź mi ciało.

– Z całym szacunkiem, sir...

– Koniec dyskusji. – Wstał i odgarnął włosy z oczu, które nadal przeszywały ją ostrym spojrzeniem. Przyglądził dwurzędową kamizelkę, po czym zapiął marynarkę. – Do roboty, Parker.

– Na litość boską... – mruknęła, odpychając się od ściany, po czym wyszła z jego gabinetu.

McMahon próbował ją wykończyć od pierwszego dnia w pracy. Jeszcze nie dopiął swego, ale z każdą mijającą godziną zbliżał się do tego celu. W październiku zeszłego roku Lottie zalaża mu za skórę podczas śledztwa, do którego oddelegowano go z wydziału narkotykowego. Niestety ich szef, komisarz Myles Corrigan, musiał wziąć urlop zdrowotny i McMahon zagarnął jego posadę, wygryzając inspektor Parker. Pastwił się nad nią, zasypując ją robotą papierkową, której szczerze nienawidziła, więc sterta dokumentów rosła proporcjonalnie do jej wściekłości. A on co rano brał ją na dywanik, odpytując z postępów. Przynajmniej dziś zmienił śpiewkę.

Skierowała się do swojego gabinetu, znajdującego się na tyłach wspólnego biura. Był niewiele większy niż boks zajmowany przez bezmienną pacjentkę w szpitalu. Ale przynajmniej miał szklane drzwi zamiast zasłon. Do Lottie wciąż powracało pytanie, co się stało z dzieckiem tej dziewczyny. Żyło czy zmarło?

* * *

Detektywi Larry Kirby i Maria Lynch siedzieli przy swoich biurkach. Nawet nie podnieśli głów, gdy inspektor ich mijała.

– Gdzie Boyd? – zapytała, zauważając jego puste krzesło.

Oboje tylko wzruszyli ramionami.

– Co się dzieje z wami wszystkimi? – Oczywiście było to pytanie retoryczne, ale i tak zirytowało ją, gdy nikt nie odpowiedział. – Jak tam sobie chcecie – mruknęła i zatrzasnęła drzwi do swojego biura. Opadając na krzesło, marzyła o ucieczce na bezludną wyspę. Ale nie miała na to szans z trójką dzieci i wnukiem pod opieką.

Włączyła komputer, zmrużyła oczy, próbując sobie przypomnieć hasło, a potem zajrzała pod klawiaturę.

Jej telefon zawibrował, a na ekranie pojawił się identyfikator rozmówcy: „Matka”. Odrzuciła połączenie. Czy ta kobieta nie może jej dać spokoju nawet w pracy? Wystarczyło, że musi mieszkać w jej domu i spędzać z nią wieczory. Na szczęście dzięki pomocy męża Marii Lynch, Bena, Lottie zaczęła już remontować wynajęty dom. Niestety termin wyprowadzki ciągle się odwlekał. Miała nadzieję, że na początku przyszłego tygodnia w końcu się uda. Dzieci też potrzebowały własnej przestrzeni. I to szybko. Inaczej Katie zamorduje młodszą siostrę. A Sean? On nie sprawiał żadnych problemów...

Telefon na biurku zadzwonił. Pomyślała, że chyba matka nie jest aż tak namolna. Okazało się, że dzwoni pielęgniarka ze szpitala z nowinami.

Lottie zapisała nazwisko i adres zakrwawionej nastolatki, po czym się rozłączyła. Już miała wychodzić, gdy jej komórka znów zawibrowała.

– Mamo, posłuchaj, jestem zajęta – rzuciła, nie sprawdzając, kto dzwoni.

– Lottie, wszystko w porządku? – To był ksiądz Joe.

– Przepraszam. Myślałam, że to... och, wiesz. – Zirytowana opadła z powrotem na krzesło. – Coś się stało?

– Możesz na parę minut wpaść do katedry? Chciałbym zamienić z tobą słowo.

Powinna jak najszybciej potwierdzić adres Hope, zanim wróci do szpitala, żeby ją przesłuchać.

– Jasne. Gdzie cię znajdę?

– Będę przy głównej bramie.

Gdy skończyła rozmowę, Boyd zajrzał przez drzwi.

– Szukałaś mnie?

– Masz ochotę się przejść?

6

Na oddziale ratunkowym panował rozgardiasz. Lekarze i pielęgniarki kręcili się gorączkowo, a salowe i sanitariusze biegali między pacjentami. Hope znalazła swoje ubrania w niebieskiej plastikowej torbie na stalowym pręcie pod łóżkiem. Odłączyła kroplówkę, zdjęła szpitalną koszulę, po czym włożyła zakrwawione dzinsy z elastycznym paskiem, nadal wilgotne. Między nogami miała grubą podpaskę, która utrudniała chodzenie. Koszulka była w opłakanym stanie, ale i tak naciągnęła ją przez głowę. Pielęgniarka powiedziała, że przywieziono ją do szpitala z komisariatu. Dlaczego tam trafiła? Czy zrobiła coś złego? Niezależnie od wszystkiego czuła przemożną potrzebę ucieczki.

Nigdzie nie znalazła swojej bluzy z kapturem. Nie wiedziała, czy ją na sobie miała, czy nie. I butów też nie było. Gdzie, do cholery, schowali jej buty? Będzie musiała iść boso.

Powoli odsunęła zasłonę i przemknęła za plecami sanitariusza pchającego wózek z pacjentem w stronę bocznych drzwi z tabliczką „Pracownia RTG”. Po lewej zobaczyła wyjście ewakuacyjne z wypisanym wielkimi czerwonymi literami zakazem otwierania.

Zignorowała ostrzeżenie i nacisnęła klamkę, ale nie rozległ się żaden alarm. Wyszła, a drzwi się za nią powoli zatrzasnęły.

Podłoga pod podeszwami jej stóp wydawała się twarda, lecz dziewczyna nie zwracała na to uwagi. Przyciskając ramiona do piersi, by ukryć zakrwawioną koszulkę, skierowała się przez tylne wyjście na główną ulicę. Wiedziała, że gdzieś tędy biegnie kanał. Musiała go tylko odnaleźć, a wtedy powinna bez większych problemów trafić do domu.

Gdy przeszła przez przełaz prowadzący na ścieżkę nad kanałem, jej brzuch przeszył skurcz, a po nim ostry ból. Ale się nie zatrzymała.

Nie pamiętała nic od chwili tuż przed porodem.

A wtedy spłynęło na nią przerażające pytanie: co się stało z jej dzieckiem?

* * *

Chmura przesłoniła słońce i woda pociemniała.

– Słaba zabawa – stwierdził Sean.

Barry cisnął pustą puszkę na środek kanału i podniósł wędkę. Między trzcunami przebiegł szczur.

– Marudzisz. Jak chcesz, to spadaj do domu.

– Nie o to mi chodziło. – Sean nie do końca wiedział, co miał na myśli, ale na pewno nie chciał drażnić Barry'ego. Fajnie było spotkać się z kimś innym niż jego przyjaciel Niall. A Barry był lubiany w szkole. Inny. Sean pociągnął łyk z puszkii i też wrzucił ją do wody, choć nie wypił nawet połowy.

– Zobaczmy, czy jeszcze jakieś będą chciały zaatakować – powiedział, starając się, by zabrzmiało to brawurowo. Ale głos zamarł mu w gardle.

– Co znowu? – spytał Barry.

– Widzisz to?

– O czym ty mówisz?

– To... to coś tam... Co to jest?

– Nic nie widzę. Tak czy siak, nie lubię tych drani. – Zaczął pakować sprzęt wędkarski do torby. – Chodźmy dalej.

– No dobra – zgodził się Sean, choć wcale nie siedzieli tu zbyt długo.

Gdy chmury się podniosły, powiał lekki wiatr, kołyszając trzciniami. Sean szeroko otworzył oczy i usta w niemym przerażeniu. Odłożył torbę i podniósł wędkę, pochylając się, by rozgarnąć trzciny.

– Co, do...? Jezu Chryste, Barry. Patrz. Nie tam! Tutaj, kretynie. Co to jest?

Barry zajrzał mu przez ramię.

– Wygląda... To człowiek? – zapytał.

– Nie widzę dokładnie. – Sean poruszył wędką. – Jasna cholera, Barry. Musimy wezwać policję.

– Po co?

– Cokolwiek to jest... n-nie żyje – zająknął się. – I wygląda na bardzo małe.

– Może to pies czy coś? – zasugerował Barry.

– Żaden pies, debil. Nie ma sierści. – Sean już trzymał telefon w ręku.

– Nie znasz nawet numeru na komisariat.

– Moja mama jest detektywem.

Niestety Lottie nie odebrała.

– Dzwonię na numer alarmowy.

– Co zrobimy z alkoholem?

– Chyba nie będą nas przeszukiwać.

Gdy zgłosiła się centrala, Sean przekazał szczegóły i się rozłączył. Dalej rozgarniał zarośla końcem wędki. Nagle wzdłuż brzegu przepłynął szczur i chłopak wypuścił wędkę. Udało mu się sięgnąć po nią na tyle szybko, że nie utonęła.

Barry odwrócił się i puścił biegiem.

– Hej! – krzyknął Sean. – Co z tobą? Wracaj!

– To są zwłoki – wrzasnął kumpel. – Tylko że to... to...

Na moście rozległy się syreny.

– Za późno. Lepiej poczekać. Powiedziałem im, że jest nas dwóch.

Ujrzawszy pobladałą twarz kumpla, Sean odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć w wodę.

– Ja pierdolę – rzucił Barry i zwymiotował.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



MORDERCA CZAI SIĘ W POBLIŻU, A MIASTO JEST PEŁNE SEKRETÓW...

Pewnego upalnego wieczoru po meczu z przyjaciółmi jedenastoletni Mikey Driscoll rusza do domu. Dwa dni później grupa nastolatków znajduje jego ciało nieopodal boiska. Głowę dziecka otacza aureola z polnych kwiatów. Wkrótce na brzegu malowniczego jeziora Ladystown zostają odnalezione zwłoki innego chłopca, również obsypane kwiatami.

W poszukiwaniu sprawcy, który zostawia tę przerażającą wizytówkę, Lottie musi rozplątać pajęczynę tajemnic spowijającą krąg przyjaciół Mikeya. Wszyscy coś ukrywają, ale kogo chronią? Parker jest zdeterminowana, by złapać mordercę, ponieważ tym razem jej synowi też grozi niebezpieczeństwo...

Nr 21000281/D0

ISBN 978-83-8074-848-4



9 788380 748484



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł